

Nie bójmy SIE



Barbara Krafftówna jako „Kurka wodna”.

SMUTNE i zara-
zem dziwne są lo-
sy teatru Stan-
sława Ignacego
Witkiewicza. Na-
zywajmy zresztą

Witkiewicza tak jak popularnie przyjęto nazywać — „Witkacym”. Wystawiono właśnie w dwudziestopięciolate jego śmierci „Kurkę wodną” na dużej scenie Narodowego i ten smutny los mimo woli się przypomina. Najpierw, w okresie międzywojennym, były sztuki Witkiewicza lekceważone, wydrwiwane i wysmiewane za ich rzekome dziwactwo, bełkot i oczywiście nikt nie miał odwagi, by pokazać je światu. Później losy Witkacego tak się pogmatwało ułożyły, że w ogóle o nim zapomniano lub trzeba było zapomnieć. A jeszcze później... Później był już zrozumiały, oczywiście tak jak może być zrozumiały teatr Witkacego, później już się nie śmiano, nie oburzano, przeciwnie — wpadano, w przesadny niekiedy, zachwyt, ale było już jednocześnie za późno, by światu pokazywać. Przyszli przede wszystkim Ionesco ze swym, jak w jednej ze sztuk, rosnącym w mieszkaniu trupem, czy wyrastającymi ludzom rogami nosorożców i Witkiewicz nie był już niemal żadnym odkryciem, mimo iż pasowny został już wtedy na klasyka.

Jest „Kurka” niemal taka jak cały teatr witkiewiczowski z jego niezmiennymi akcesoriami absurdu, freudowskiej erotyki, makabry rodem z grand guignolu, specyficznej kpiny. Jest i perwersyjna dziewczyna, która błaga, by ją kołnerek jak najszybciej zastrzelił. I życie — powiada — jest niczym i śmierć niczym, najgorsze jest to czekanie aż strzeli. Kołnerek wreszcie strzelił, trupa służba wyniesie, ale „trup” ożyje i będzie na odmianę uwodzić przybranego syna kołnarka, a samego kołnarka śmiejąc się, podda torturom w maszynie tortur. Jest też i brutalny mężczyzna o sile byka i jest rozpustna księżna uwielbiająca mężczyzn o byczej sile. Jest ów synalek Tadzio z kompleksami seksualnymi i jest przede wszystkim, jako główny bohater, jego przybrany ojciec, który chce być poetą, a cierpi na niemoc twórczą i strzela sobie wreszcie w łeb...

Widz ma oczywiście prawo pytać, co to wszystko znaczy.

Odpowiem z pewnym uproszczeniem: nic, albo prawie nic nie znaczy, jest przede wszystkim zabawą, doskonałą, absurdalną zabawą w stylu Mrożka, Ionesco i kilku jeszcze innych „nowoczesnych” razem wziętych. Nie, to nie ironia. Przeciwnie. Chcę przez to powiedzieć, czym i kim mógłby być Witkacy „gdyby”. Plackiem też oczywiście nie należy padać. Byłaby to druga skrajność. Jest przecież teatr Witkiewicza teatrem bądź co bądź elitarnym i może istnieć jako swego rodzaju osobliwość.

To bardzo dobrze, że Wanda Laskowska jako reżyser nie sądziła się, jak to bywało w wielu inscenizacjach witkiewiczowskich, na ogromną metafizykę, czy śmiertelnie poważne roztrząsanie zagadek bytu. Dziś się Witkiewicz najmniej chyba nadaje do takich „bebechowałych” operacji. Prawda, u podstaw wizji Witkiewicza leży koszmarnie widzenie świata i filozofia absurdu życia. Witkiewicz widział swój świat w przerażająco jasnym świetle, przerażał on go swym koszmarem i widział go katastroficznym. W przerażeniu uciekał od tego świata i jakby nieustannie chował, wznosząc sobie parawan z fantazji, snu, a przede wszystkim z szyderstwa. Szydził bowiem z wszystkiego i wszystkich. „Kurka wodna” jest również takim witkiewiczowskim szyderstwem. Z rodziny, z tradycji szlacheckich, z mieszczaństwa, bankierów, z rewolucji, z romantycznej literatury i z jej strzelających sobie w łeb bohaterów. Do końca zresztą życia Witkiewicz bał się i uciekał, nie mogąc w swym świecie znaleźć miejsca ani po lewej ani po prawej stronie, a gdy z kolei ten świat walił się w tragicznym Wrześniu uznał, że jedyną ucieczką będzie samobójstwo.

Tak, to wszystko prawda, tylko że jednocześnie to wszystko jest geniza, a genyza na scenie się nie pokazuje i nie można pokazać. To co do nas dziś dociera to skonstruowana z imponującą wyobraźnią malarza, jakim był Witkiewicz wizja teatralnego snu z wszystkimi jego dziwno-

ściami, a w tym absurdalnym śnie — wielkie witkiewiczowskie szyderstwo. Szyderstwo zaś wystarczy tylko zaostriżyć, by zaczęło ono dziać komicznie. Podstawę do takiego traktowania daje i język postaci Witkiewicza i absurdalne sytuacje sceniczne. Wszystko. A przy tym to witkiewiczowskie szyderstwo w dużej mierze również zwierzało. Pozostaje groteska w całej witkiewiczowskiej aurze. Tak to właśnie „Kurkę wodną” zrealizowała Wanda Laskowska i tak chyba należy dziś Witkiewicza wystawić. Widownia aż wstrząsa śmiech.

Oczywiście tzw. dreszczyk metafizyczny został zachowany. To cały smaczek owa witkiewiczowska niesamowitość drugiego, pozagrobowego jakby świata. Wprowadzony został tylko na zasadzie efektu komicznego. I jest to efekt znakomity przez ten właśnie element niesamowitości. Trudno było przy tym o lepszą obsadę do tak pojętej „Kurki wodnej”. Barbara Krafftówna i Wieńczysław Gliński wręcz wymarzeni do głównych ról. Oboje od pierwszej sceny rozbijają nastrój powagi i oboje, szczególnie Krafftówna, rozporządzają istic witkiewiczowskim komizmem — z pewną niesamowitością śmiechu. Halina Mikołajska potrafiła również wyzwolić się ze swych tragizujących ról i była jednocześnie zabawna i trochę niesamowita jako rozpustna księżna. I przednia na scenie obsada i przednia, specyficznie witkiewiczowska zabawa. Od dziś trudno będzie chyba patrzeć na Witkiewicza inaczej niż przez to znakomite przedstawienie. Kto wie, czy nie oznacza ono przełomu w naszej scenicznej recepcji teatru Witkacego.

JEREMI CZULIŃSKI